

Andrzej Walter

Gdzie my, tam niebo coraz bliżej

Jednym z najbardziej zagadkowych tomów poezji, z jakim dane mi się było w swoim życiu zetknąć okazał się zbiór wierszy sprzed siedmiu już lat, znanego i rozpoznawalnego wielkopolskiego poety **Zbigniewa Gordzieja** zatytułowany „Piórem po żebrach anatomii”. Nienapisanie o nim przez te siedem lat to w moim odczuciu ogromne zaniedbanie, niedopatrzenie, tudzież mój wielki wyrzut sumienia.

Długo się też broniłem przed konsekwencjami wnikięcia w tę podróż. Ten tom ma bowiem dla mnie swoją jakże niepowtarzalną historię. Wkroczył on bardzo mocno i odważnie na najważniejsze medyczne salony. Czytał go (i to z pewnością dość wnikliwie) sam profesor Marian Zembala (którego cenię, szanuję i podziwiam). Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że najważniejszy kapitan polskiej kardiologii sam pisuje (niezłe) wiersze, że ów lekarz wielkiego serca, sam serce ma na wyciągnięcie swojej drogocennej dłoni, wtedy nie przeczuwałem jak mogą splatać się: poezja z medycyną i jak mogą współistnieć, dopełniać się, kreować duchową intensywność i jakże często wyrażać się w literackich poszukiwaniach najważniejszych prawd życia przez lekarzy, właśnie w słowie.

I nagle dotarło do mnie, że Zbigniew Gordziej odwrócił ten porządek. Stał się sam naprzeciw wzbierającej fali piszących i poszukujących lekarzy, jako poeta, który najbardziej indywidualnie i samodzielnie odkrywa zagadki (nazwijmy to – nieśmiertelności) w potężnych i rwących meandrach medycyny, w jej szerokim spektrum odcieni, w jej gąszczu odkrywania, wreszcie w jej urzekającym, magnetycznym przyciąganiu wszelkich umysłów niepokornych.

Medycyna dla Zbyszka Gordzieja to niemal kamień filozoficzny ludzkości, kwintesencja jedności wszystkich żywiołów, najważniejszy szlak, na którym można bodaj najwięcej uczynić dla ludzkich istnień. I jest w tym Gordziej doprawdy niesamowicie przekonywujący. Jego poszukiwania poetyckie na kartach „Piórem po żebrach anatomii” docierają o wiele dalej niż nam się wydaje, choćby po pierwszej lekturze wierszy. Przywołuje postaci z różnych specjalizacji i epok, największych z wielkich, i obok tych mniej znanych, przywołuje lekarzy z krwi i kości (z żeber anatomii) i jakże idealnie ludzkich, oddanych bliźniemu i nauce, oddanych odkrywaniu i służbie, oddanych wierze i wytrwałości oraz oddanych idealizmowi postawionemu ponad naszą ludzką śmiertelność w

imię niesienia ulgi drugiemu człowiekowi.

Gordziej nie ukrywa swojej fascynacji. Rozmawia z nimi, zadaje im niewygodne pytania, które i nas, uwierają u swych źródeł, jak i w szerszej perspektywie, poeta czasem rozważa nawet sam ze sobą, ale i dla nas to czyni, jak to jest, chcieć za wszelką cenę podarować kolejny dzień. W medycynie bowiem liczą się fakty, wyliczenia, diagnozy i prognozy prawdopodobieństwa, ubrane jednakowoż w bezbarwny konkret, od którego często nie ma już odwrotu. Jego bezbarwność, jak się okazuje, może jednak mieć swoje kolory, może tylko odcienie, szkopuł w tym, że każdy z nas widzi jej jakby inaczej.

Zbigniew Gordziej stworzył tom wyjątkowy i bardzo przewrotny. Jego artyzm ukrywa się między słowami, między znaczeniami i stanami świadomości, pomiędzy dygresjami życiorysów przywołanych postaci, pośród gąszcza tajemnic kryjącymi się za losami lekarzy, za ich sumieniami, duszami, za ich myślami, motywacjami i niespełnionym często pragnieniem. Jego wymiar jest tak mocno intelektualny, że jest to tom wierszy tylko dla ludzi cierpliwych, dociekliwych, słowem dla tych, którzy odważą się przyznać o swej niewiedzy przed samymi sobą i po odszukaniu niezbędnego kontekstu pojmą wielką ideę. To jest tom dla ludzi pokornych i tych, którzy jednocześnie: trwożą się, ale i szanują przypadek Końca. Koniec jest bowiem niemal namacalnie nieuchronny, lecz jego nieuchronność jest też tak dalece wielowymiarowa, że dajemy wiarę poecie, kiedy wskazuje nam czym jest: ból, czym jest jego (poety) górskie marzenie (jako panaceum) i (ludzkie) wyzwanie, tudzież jak mocno poezja splata się z medycyną właśnie i z życiem, z Tatrami, z miłością i z nadzieją, wreszcie też – z najprostszą codziennością, którą stabilizuje się najlepiej naszymi małymi ucieczkami w inność.

Bardzo ciekawie zgłębia się tom, tom, którego się nie rozumie, który jednakowoż fascynuje, przez który się nieśpiesznie przedziera i który się stopniowo i powoli się przed nami otwiera. A na końcu jest (jak zawsze) wielka nagroda. Są myśli i spojrzenia, chwile zachwytu i chwile refleksji. Oddała się samolubne, beznadziejne i przewrotne ja, a w zamian przychodzi cały niepokój czasów, ludzkiego, pięknego dążenia do pomagania drugiemu człowiekowi, a potem też, jakby w kontredansie przychodzi nasze bliskie, zawsze wytęsknione, wymarzone i jedyne, najpiękniejsze góry na świecie – Tatry, gdzie zaczyna się Polska i gdzie leżą

już chyba od dawna wszystkie nasze serca od tych właśnie najlepszych gór do morza...

Ja głęboko i prawdziwie tę Zbyszkową tęsknotę rozumiem i podzielam. Tatry bowiem to coś więcej niż tylko góry. To Góry Przemienienia. To Góry zagubienia i odkrycia, góry naszych ludzkich ścieżek, którymi jedni szli do Boga, inni do nadziei, a jeszcze inni do samego siebie. Czymkolwiek była ta droga, jakkolwiek był jej kres, była z pewnością wymiarem przeznaczenia i jako takie Tatry stanowią dla nas pewien mit, czy symbol, a może i nawet pewnego rodzaju: odnośnik, drogowskaz czy jakże niezbędną pułstelną. Tatry to najczystsze źródło naszej dojrzałości. Prawie każdy z nas nosi w sobie jakąś historię związaną w Tatrami. To bardzo wiele. Zbigniew Gordziej opowiedział nam tu swoją.

Jego historia jest... subiektywna. Czyja taką nie jest?

Jest trudna, jak wszelkie nasze historie. Jak oczekiwanie na Tanatosa, jak okowy cierpienia, jak lęk przed bólem, jak Jaskinia Mylna, jak sale operacyjne, tęsknoty, wspinaczki na te wszystkie nasze góry, na które z syzyfowym uporem wspinamy się od lat... aby znów dostać kopniaka i rozpocząć znów, beznamiętnie i uporczywie od początku.

Ta medycyna, idee fixe u Gordzieja ma posmak wieloraki: renesansowy, tantryczny, aksjologiczny, magnetyczny i magiczny i jeszcze wielu, wielu sensów i innych wysublimowanych wydzźwięków możemy się tu dopatrzeć, a w połączeniu z tymi Gordziejowymi Tatrami:

*kiedy z lampką czerwonego wina w ręce
wyszedłem by spojrzeć
w niebieskie podniebienie Ziemi
(...)*

*zrezygnowałem z zagranicznych wojaży
wszedłem na Kozi Wierch
niebo było bliżej
pogłaskało mnie po twarzy
słońce rozjaśniło źrenice*

Słowa wołały o papier

I zawołały bardzo donośnie. A pomiędzy tatrzańskim echem, lawiną, miłością i medycyną odnajdziemy trzy jakże ciepłe, piękne i osobiste wiersze, do Żony, do Ojca i do Matki. Poeta jakby się tłumaczył, jakby ma sam przed sobą skrupuły wyboru tej własnej drogi w życiu. Ma chyba sumienie, wciąż

(Dokończenie na stronie 4)